ROK DRUGI.

№ 25.

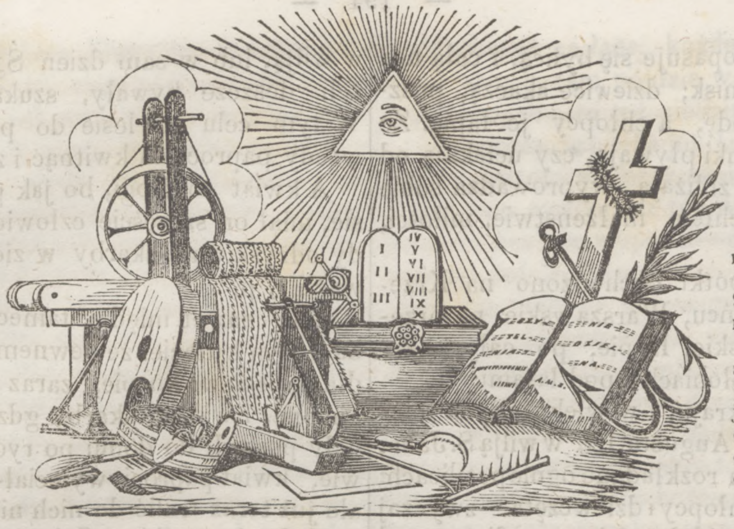
Warszawa

D. 9 (21) czerwca

1857.

Niedziela

2 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Oddaj nazawsze serce twoje Bogu, a nie bój się sądów ludzkich, kiedy sumienie twoje świadczy, żeś pobożny i niewinny. Znosić sądy ludzkie, dobrą i błogosławioną jest rzeczą i nie ciężką sercu pokornemu, ufającemu więcéj Bogu, jak sobie. (O naśl. Chr. K. 3. R. 36).

Kara i nagroda (1)

Ten ladaco Bartłomiej, toć się naprzeklina;
On wszystko wymieść musi, co mu niesie ślina —
W jego też domu, każdy boży dzień
Wszystko przeklęte, nawet własny cień.
Raz Bartek powraca z karczemnej hulanki,
Gdzie go rozweselały kieliszki i szklanki;
Tocząc się, usłyszał ponad głową trzask,
Zaklął, aż tu spostrzega w domu swoim blask.
Spalił piorun dom cały i dobytek cały,
Matka dziatwę wyniosła, majątek zostały.
Bartosz się wnet wytrzeźwiał, i jak ściana zbladł,
Żal ścisnął jego serce, i na ziemię padł.
Tu krótko się pomodlił... uniknął rozpaczy,
I rzekł sobie: już każdy innym mię zobaczy.
Terazbyś ani poznał naszego Bartosa:
Od pracy mu na czole zawsze stoi rosa,
Poczciwy, cichy, trzeźwy, ku cnocie ochoczy,
Że wszystkich zwrócił serca na siebie i oczy,
I wkrótce się zbogacił,
Choć niedawno wszystko stracił.

(1) Wiersz ten był powiedziany przez Kolonistę czytającego Czytelnią Niedzielną, z okazyi przekleństwa, do kilku zgromadzonych sąsiadów.

Sobótki i Wianki Sto-Jańskie.

Sobótki są to zabawy ludowe na całej przestrzeni kraju naszego znane, a sięgające początkiem swym jeszcze przedchrześcijańskich czasów. Jest między ludem podanie, że w dawnych wiekach, Sobótka, nadobna dziewica kochała rycerza Sieciecha. Gdy ten jej oblubieniec z wojny powrócił i miłości jej dochował, wyprawiono sute wesele, pozapalano ognie, i bawiono się wokoło, tańcząc a śpiewając.

Wtem pokazał się nagle tłum najezdników; rzucają się wszyscy do broni na odsiecz nieprzyjaciela, i owa dziewica weselna z nimi — odpierają napastników, ale Sobótka ginie.

Na cześć to owej pięknej i walecznej dziewoi, poległej w obronie rodzinnej ziemi, powstała pamiątka święcona w dzień S. Jana, a obchód ten Sobótką nazwany.

Lud nieci ognie, opasuje się byłicą, i całą noc bawi się około ognisk; dziewice skaczą, puszczają wianki na wodę, a chłopcy je łapią. Ze sposobu, jak te wianki pływają, czy uciekają od brzegu, lub się doń zbliżają, wyprowadza sobie młódź wróżbę o rychłem małżeństwie, miłości, niestałości i t. p.

Krakowskie Sobótki obchodzono na Krzemionkach i Zwierzyńcu, Warszawskie na brzegu wiślanym i Saskiej Kępie, po całym zaś kraju palono je na błoniach i pod lasami.

W Stolicy nadto kraju, i w wielu innych miastach za panowania Augusta III, w wilją S. Jana, zaraz po nieszporach rozkładano ognie po ulicach; skakały przez nie chłopcy i dziewczęta—zwyczaj ten, jako dający powód do wielu wypadków, pod koniec panowania tego króla, zakazanym został.

W niektórych okolicach kraju uciecha ta ludowa i w 2 dzień Zielonych Świątek miejsce miewała.

Początek owych zabawek ludu jest pierwiastkowym obyczajem słowiańskim.

—

W Litwie i na Ukrainie zwyczaj ten nazywał się *Kupała*.

Było tego nazwiska, za czasów pogańskich, bóstwo płodów ziemskich, którego posąg stał w Kijowie.

Na Litwie w wilją Śgo Jana po zachodzie słońca robią stos z przetaków, łubiny, starzyzny, zapalają go, i śpiewając, skaczą, póki się nie spali. Tylko dziewczęta i chłopcy mają prawo do skoków, żonaci, ani wdowy do tego obrzędu nie przypuszczają się.

Kobiety przynoszą z sobą wódkę i ciasto z mąki gryczanéj, konopiami tłuczonemi i cebulą drobno usiekaną, nadziane. Ciasto to wrzucają do wody, a po wyjęciu suszą około ognia w piecu. Następują potem tańce koło ogniska, do którego przyrzucają brozę i kostrę konopną, aby się lepiéj paliło.

Noc tę nazywają *kupalną nocą*—nie zostawiają na nią koni na polach, nadto nad wrotami obór zawieszają gromnice, aby wedle mniemania ludu, krowy dawały obficie przez cały rok mleka.

Zbierano nadto podczas Sobótek różne zioła, pomocne zdrowiu, np. bylicę, łopian, jaskier do kąpieli, piołun, rutę, rozchodnik.

Na Litwie zaś jest miejsce w górzystych okolicach Wilna położone, *Rosa* nazwane, gdzie od niepamiętnych czasów pogańskich zbiera się lud w wilją, lub w sam dzień Śgo-Jana, ażeby, jeżeli deszcze bywały, szukać kwiatu paproci. W tym celu po lesie do północy chodzą, bo wtedy paproć ma kwitnąć i zaraz opadać.

A kwiat to drogi, bo jak podanie ludowe niesie, miał on szczęście człowiekowi dawać, szkody odzyskiwać, skarby w ziemi ukryte wskazywać i t. p.

Jest nawet między tamecznym gminem bajka o tym kwiecie: że pewnemu wieśniakowi wpadła paproć za kurpie; zaraz odzyskał krowę zaginioną, i widział skarby gdzieś w ziemi ukryte. Gdy poszedł do domu po rydel, przemienił obuwie, kwiat paproci wyleciał—wraca po skarby, ale już teraz trafić do nich nie może.

Nad miasteczkiem Sobótką, 5 mil od Wrocławia na Szląsku, była góra Sobótką nazwana. Dziś miejsce to już z Sobótki przemieniono na *Zobten* (Cobten).

Jan Kochanowski, sławny poeta, żyjący w polsce przed 300 około laty, mieszkał we wsi *Czarnolesiu*, w dzisiejszéj gubernii Radomskiéj.

Otóż ten Kochanowski, którego Książęciem poetów polskich nazywano, zostawił nam opis Sobótek, we wsi Czarnolesiu za niego widzianych—pisze on tak:

Gdy słowik więcéj nie śpiewa,
Sobótkę, jako czas niesie,
Zapalono w Czarnymlesie.
Dwanaście dziewek jednako ubranych,
Bylicą opasanych,
Spiewać nauczone,
W tańcu niezganione;
Ogień napalono na dworze,
Czekano rannéj zorze.
Od matek miały, że na dzień Śgo Jana
Sobótka palana.
Niećmy ogień do świtania
Nie bez pieśni, nie bez grania i t. d.

—

Panna Małgorzata Pietruszka.

Nie wstydź się nigdy swojego pochodzenia.

Przed dworem wsi Lubośni, w piękny wiosenny poranek, stał wypakowany powóz, do którego bez ustanku ludzie wynosili, to pudełka, to jakieś zawiniątka, poobwijane w papiery, to walizy i t. p. rzeczy. Dalej cokolwiek w tyle stała duża bryka brodzka, potężnie także wyładowana tłómokami; już do niéj krzepki parobczak zakładał cztery dzielne mierzyny w Krakowskich

chomontach, tymczasem liberyjny furman prowadził jednę parę koni cugowych, w szorach z mosiądzami, drugą zaś parę wiodły chłopaki stajenne. Kto żył we dworze, wszystko to wybiegło na dziedziniec, i kiedy służba pokojowa zatrudniona była pakowaniem, ogrodnik, karbowy, a nawet flegmatyczny kucharz, zapomniawszy o swojej zwykłej powadze, szczerze pomagali to zaprzęgać konie, to przywiązywać coś do bryki—robota ta ożywiona była częstemi śmiechami, na dobitkę zaś pożegnania krążyła duża oplatana flaszka alembikówki.

Dziedziczka wyjeżdżała do Warszawy na mieszkanie, służba pozostała w domu cieszyła się nadzieją miłej swobody. Ludzie, którzy mieli pozostać w Warszawie z panią, najprzód już sobie wyobrażali życie miejskie, wesołe, swobodne, prawie bez żadnego zatrudnienia, częste wizyty, spacery; a jak zwykle każdy przedmiot oddalony dla nas ma więcej powabu, tak i tu całą przyszłość wystawiano sobie różowo, wolną od wszelkich trosk i kłopotów.

Ale była jedna osoba, co nie radowała się tą drogą, która w téj chwili ukrywszy się za węgieł kuchni, gorzkie łzy wylewała. Osobą tą była Małgosia dziewucha wiejska, którą dziedziczka kazała wziąć do dworu na pokojową, a teraz zabiera ją do Warszawy.

Wojciech Pietruszka ojciec Małgosi, był to poczciwy stary żołnierz, który dużo nawłóczywszy się po świecie, po rozmaitych zamorskich krajach, straciwszy zdrowie i jedno oko, powrócił jako kaleka do wioski rodzinnej, a ożeniwszy się z letnią już wdową, pędził jak mógł biedę. W kilkanaście lat żona mu umarła, zostawiając syna 18-letniego parobczaka w terminie u szewca, i piętnasto-letnią córkę Małgosię. Sam niedługo także pociągnął stary, a Małgosia zostawszy się sierótą, wzięta była do dworu; że zaś miała dosyć sprytu, podobała się pani, która teraz wyjeżdżając, postanowiła ją z sobą zabrać do Warszawy. Małgosia ani razu nie wyjeżdżała za obrąb wsi rodzinnéj, to jéj się też nie mogło pomieścić w głowie, jak to żyć gdzieindziéj można? Zdawało jéj się, że już w świecie niema nic piękniejszego nad jej wieś rodzinną, a słysząc cuda o Warszawie i przedstawiając ją sobie, choćby jak cztery takie wsie, nie pojmowała, co tam mogło być lepszego, jak w Lubośni? Tu urodziła się, miała przyjaciołki, z któremi razem bydło pasała, miała ciotki, wujenki, stryjenki, tu znała każdy krzak na łące, każde bydlę wiedziała do kogo należy; tam pójdzie w świat obcy, między ludzi obcych—to też niedziwota, że płakała.

—Słuchaj, mówiła jéj Urszula, dziewka od kuchni, z którą się przyjaźniła, ty teraz płaczesz, a jak tam spróbujesz téj Warszawy, to cię kijem do nas nie wypędzi—dziwy to tam są, powiadają ludzie, dziwy!

— Co też ty głupia gadasz, oburknęła się Małgosia, jabym miała zapomnieć mojej wsi? Ja się tam zatęsknię, zapłaczę, albo sobie co zrobię.

— Alboż to taki rok długi, nie podoba ci się, to powrócisz do nas, a będziesz nam miała dopiero co opowiadać: jakie to tam mają być chałupy ogromne, gdyby kościoły, a ludzie to podobno tam precz wysoko, wysoko mieszkają, nieprzymierzając, jak wróble na dachu.

—Co mi tam z tego, ja tam temu wszystkiemu nie rada.

—O jabym chciała na twojem miejscu jechać do Warszawy.

— Ty żartujesz sobie zemnie, zawołała Małgosia, płacząc.

— No, no, zobaczysz, że ztamtąd nie będziesz chciała do nas powrócić.

— Żeby mnie tylko puścili, to piechotą o głodzie, w jednej koszuli do was powrócę.

—No, pamiętaj, bo twój Franek zatęskni się nieborak.

Na te słowa, Małgosia na głos zaszlochała i zaczęła prosić Urszuli, żeby jej przez każdą okazyą dała wiedzieć o sobie i przyjaciołach.

Wtém pani wyszła na ganek, słudzy wszyscy otoczyli ją wieńcem, kłaniając się i żegnając; ona zaś poleciła cały dom i gospodarstwo ich opiece, i przeżegnawszy się, wsiadła do powozu, a wkrótce powóz i bryka uwożąca Małgosię, znikła w tumanach kurzu na zakręcie alei.

Małgosia przybywszy do Warszawy, z początku nie mogła się napatrzeć, omało jej oczy nie wylazły na tyle różności. Na jednej ulicy zobaczyła panią stojącą w oknie, ślicznie ustrojoną, która się ciągle obracała na wszystkie strony—nie chciała wierzyć, kiedy jéj dziedziczka powiedziała, że to jest z wosku. Aż tu znowu patrzy w drugiem miejscu stoi śliczny pan z wąsami, z bródką i kapeluszem w ręku, a pani jéj mówi, że to także z wosku. Małgosia już przez jakiś czas myślała, że większa część Warszawy tylko z wosku, i ledwie ją dziedziczka mogła

przekonać, że te włóczące się figury po trotuarach są ludźmi żyjącymi.

Drogi wszystkie w Warszawie to tak poukładane kamieniami równiuteńko, jakby jaka podłoga, a kamienice to jeszcze piękniejsze jak kościół parafialny.

Małgosi więc nietylko się nie zdawało już nudno i smutno w Warszawie, ale codzień więcéj się do niéj przywiązywała. I tak dzień za dniem przelatał, tydzień za tygodniem, a Małgosia mało myślała o Lubośni; czasem jéj tylko Franek stanął na myśli, ale to sobie zaraz odpędzała od głowy. Kiedy jaka okazya była ze wsi, to kazała pozdrowić wszystkich krewnych, i na tém się kończyło. A kiedy już upłynęło dwa lata, to Małgosia ani pomyślała, żeby wrócić do Lubośni. Zrzuciła chustkę z głowy, a włosy uczesała po warszawsku, zamiast wełniaka i gorsetu, włożyła suknię z obręczą i parasolkę kupiła, i tak przeistoczona poprosiła pani, żeby jéj pozwoliła jechać na wieś, w rzeczy dla zobaczenia się z krewnymi, a rzeczywiście korciło ją to przebranie, i już sobie z daleka wyobrażała, jak to zaimponuje wszystkim na wsi swoją parasolką—a chociaż dawniéj idąc do żniwa, albo do innéj roboty, nie używała jéj, teraz się bez niéj obejść nie mogła; układała sobie nawet, że zamiast klęczyć na środku kościołka, jak to dawniéj robiła, zasiądzie sobie w ławce przy ekonomowéj i gorzelanéj.

Pani zezwoliła, i Małgosia jednego pięknego poranku w maju, z parasolką w ręku, z bułeczkami montowemi i serdelkami w chusteczce na drogę i poczęstowanie znajomych, wsiadła do wagonu czwartéj klassy, i zbliżała się ku miejscom rodzinnym.

Koleją jechało wiele ludzi, a między nimi jakiś jegomość w czapce z lampasem ciemno-zielonym, i żółtemi guzikami, który tytułował się woźnym przy jakiéjś tam kommissyi. Otóż jemu wpadła widać w oko Małgosia; z początku poważnie tylko na nią spoglądał, kurząc papierosy, ale kiedy już ujechali ze dwie stacye, zbliżył się i zaczął jéj się wypytywać:

— Daleko panna jedzie?

— O! jeszcze za Piotrków, ale w Piotrkowie wysiadam.

— Jakie szczęśliwe zdarzenie, i ja tam wysiadam.

— Panna jedzie na prowincyą?

— Tak.

— Do rodziców?

— Nie mam rodziców, ale do krewnych.

— Zapewne do którego miasteczka?

Małgosia zapłoniła się, chciała odpowiedzieć że na wieś, ale jak się tu przyznać do pokrewieństwa z chłopami?—jednakże wspomniawszy sobie, że może się przyszyć do ekonomstwa, rzekła:

— Nie, jadę do wsi Lubośni, do ekonoma Garbskiego, mego wujaszka.

— O! znam, znam pana Bonawenturę, kiedy jeszcze służył u bankiera w Warszawie—uczony to szpaczek, proszę mu się kłaniać od jego kolegi przyjaciela Pafnucego Kossa, który wtenczas służył za kamerdynera; a chociaż pan Bonawentura przez złość może powie, że tylko byłem lokajem, ale panna temu nie wierz.

Pan Pafnucy Koss tak prowadząc rozmowę, w Skierniewicach poprosił na likier panny Małgorzaty, sam zaś zapalił sobie papierosa—Małgosia zaczęła go częstować serdelkami i bułeczkami, które miała na gościńce dla dzieci; towarzysz zaś podróży posiadał tak dobry apetyt, że wkrótce Małgosia z żalem widziała, jak ostatni serdelek, jak ostatnia bułka nikła w szerokich ustach pana Kossa. Ale trudno już było zawiązywać chusteczkę, zresztą w takiem towarzystwie to i nie żal stracić; dlatego tak się nawet rozochociła, że w Piotrkowie, kiedy już wysiedli, sama go zaprosiła na herbatę do miasta. Płacąc, wydobyła dosyć spory woreczek, w ktorym znajdowało się przeszło 20 rubli. Pan Koss raz tylko na niego rzucił okiem, a wzrok mu wówczas błyszczał jakimś dziwnym blaskiem; podwoił więc nadskakiwanie, postawił jeszcze parę szklanek herbaty z arakiem, nareszcie formalnie się oświadczył o rękę panny Małgorzaty, opisując jéj długo i szeroko, jakiéj on to używa wziętości, jak to ona będzie poważaną, jak ją to będzie stroił, jak będzie imponowała innym. Łatwowierna Małgorzata, w któréj te obrazy obudziły pychę, nie posiadała się z radości; cała zatopiona w przyszłości, już naprzód układała sobie, jak to o niéj ludzie gadać będą, jak jéj będą zazdrościć, palcami pokazywać.

Najęła furmankę do Lubośni, pan Koss odprowadził ją aż na przedmieście, i tu jeszcze raz kazawszy postawić miodu, prosił Małgorzaty, czyby nie mogla pożyczyć mu 15 rubli, które pod słowem honoru jéj odda za powrotem do Warszawy. Nie podobało się to trochę Małgosi, i już się myślała wymówić, ale nie miała tyle

odwagi; wyjęła więc woreczek i odliczywszy 15 nowiuteńkich rubli, które przez dwa lata zbierała z taką troskliwością, podała panu Pafnucemu—ten czule się pożegnawszy i ponowiwszy jeszcze raz obietnicę rychłego oddania długu, powrócił do miasta, Małgosia zaś udała się ku Lubośni.

Tu przyjechawszy, udała się nie do swojej starej ciotki komornicy, mieszkającej na wsi, ale do żony gorzelanego, a ztamtąd dopiero postanowiła zobaczyć się z krewnymi.

Stara Jędrzejowa dowiedziawszy się, że przyjechała Małgosia, zaraz się do niej powlekła, ale ta tak ją zimno przyjęła, że staruszka odeszła, kiwając głową smutnie, i mówiąc:

— O mój Boże, mój Boże, adyć to ta Pietruszczanka tak w téj Warszawie zhardziała, że prawie na człowieka patrzeć nie chce, źle to z tego będzie, źle.

Franek Skorupa dzielny parobczak, który miał ciągle dawniéj na nią oko, przyleciał także, lecz Małgorzata zaledwie mu odpowiadała, bo Kossa miała na myśli—to też odszedł zmartwiony.

Brat Małgosi, Łukasz Pietruszka, nie znajdował się we wsi; on zaraz po śmierci ojca jako czeladnik szewcki wyszedł na wędrówkę, i już od trzech lat nie dawał o sobie żadnéj wiadomości—mówili ludzie, że udał się do Gdańska, a ztamtąd powracający flisi gadali, że wsiadł na okręt i popłynął tam gdzieś na drugi koniec świata, gdzie się złoto rodzi.

Małgorzata więc dogodziwszy swéj pysze, zaprezentowawszy się w salopie, z parasolką w ręku we wsi, w kościele posiedziawszy w ławce obok ekonomowéj z książką w ręku, z któréj nie znała ani litery, postanowiła powrócić do Warszawy, tem bardziéj, że pan Koss był jéj ciągle na myśli.

Przyjechawszy do Warszawy, pragnęła jak najprędzéj zobaczyć się z panem Pafnucym, ale upłynął przeszło tydzień, a on się nie zjawiał; poszła więc na zwiady do biura, które jéj wskazał, i tam dowiedziała się, że już od pół roku pan Pafnucy Koss za nadużycia jest oddalony, i gdzieby się teraz obracał, nikt nie wie. Spłakała się więc biedna, ale o stracie swojéj nie śmiała się przyznać nikomu—postanowiła zatem tylko być ostrożniejszą na drugi raz, i nie tak łatwo wierzyć byle komu.

Małgosia była oszczędna i pracowita, zaczęła znowu składać grosz do grosza, ale im więcéj sprawiała sobie garderoby, tem większa duma opanowywała jéj serce; zerwała zupełnie stosunki ze wsią i najokropniéj wstydziła się nazwiska swego ojca Pietruszki. Po trzechletnim jeszcze pobycie u dziedziczki, która na cholerę nagle umarła, Małgorzata zaczęła się starać o inne miejsce. Teraz nadarzyła jéj się sposobność, dawno już przez nią wyglądana, zmiany swojego nazwiska—godząc się więc do służby do jednego znacznego urzędnika, powiedziała, że jéj książeczka zaginęła, a ona nazywa się Małgorzata Pietraszyńska, jak gdyby to nazwisko lepsze było w czém od Pietruszki. Pan wyrobił jéj książeczkę pod tem nazwiskiem.

Tak upłynęło lat kilka—gdy dnia jednego wyczytano w gazetach następujące ogłoszenie:

— Po zmarłym Łukaszu Pietruszka, pochodzącym z Królestwa Polskiego, zmarłym tu w Filadefii w Ameryce majstrze szewckim, a razem liwerancie pozostał spadek przeszło 100,000 talarów wynoszący— wzywa się więc krewnych, którzy do spadku rościliby sobie pretensye, żeby z dowodami swemi na ręce konsula zgłosili się, dla odebrania téj summy.

Był to spadek po bracie Małgorzaty, lecz jakże się jéj przyznać do niego, kiedy wyparła się i odmieniła swoje nazwisko? Zmartwiona, dręczona okropną myślą, nie śmiała się przyznać do swojego postępku, bo bała się odpowiedzialności za oszustwo.

Tym więc sposobem, dzieci po staréj Jędrzejowéj komornicy, z któremi nie chciała pierwej mówić, wszystko odziedziczyły.

Inaczej jednak postąpiła poczciwa Jędrzejowa: nie odepchnęła ona Małgorzaty od serca swego, ale owszem kiedy ta teraz po długiej chorobie blada i wynędzniała odezwała się do niej, przyjęła ją do swego domu, i łzy otarła i nędzę utuliła.

Fundacya Jana Maciąga.

—

„Po owocach ich, poznacie ich.“

Każdy dobry uczynek wtedy jest zasługą u Boga, a miłą pamięcią u ludzi, gdy miłość jest jego źródłem, ale miłość nie dla siebie, lecz ku wszystkim ludziom, ta prawdziwa posłanka niebios, która wypędza ze świata zimne samolubstwo.

Jéj to uczuciem wiedziony, Jan Maciąg syn chłopka ze wsi Dzikowca, obwodu Rzeszowskiego w Galicyi, uczynił dla dobra powszechnego fundacyą, o któréj wam tu chcę opowiedzieć.

Zacny ten kmiotek rozmyślając długo nad tem, że w kraju naszym jako z natury swojéj rolniczym, rolnictwo jest główną podstawą ogólnego dobrego bytu, i z téj przyczyny przed innemi ulepszanem być winno; że jednak mimo to, i obok najwdzięczniejszéj gleby, jaką nas Opatrzność obdarzyła, niżéj stoi od rolnictwa innych krajów, przyszedł do tego przekonania, że rolnikom polskim trzeba się nieodzownie uczyć i doskonalić w swoim zawodzie.

Że zaś nie każdy ma do tego możność i sposobność, postanowił więc częścią majątku swego, przez pracę i oszczędność uzbieranego, przyczynić się do upowszechnienia umiejętności rolniczéj, osobliwie pomiędzy włościanami.

Dlatego testamentem swoim z dnia 29 grudnia 1854 r., zapisał 40,000 złp. (6000 rs.) dla Zakładu czyli szkoły Rolniczéj we Lwowie, i takąż drugą summę dla Zakładu Rolniczego Krakowskiego.

Procent od tych dwóch summ, zabezpieczonych na hypotece, ma być użytym na to, aby czterech z młodzieży polskiéj, ubogiej, katolickiéj, urodzonych w Krakowskiem lub Galicyi, po dwóch w każdym z wymienionych zakładów, rocznie uczyć się mogło.

Zapis ten otrzymał nazwisko *fundacyi Jana Maciąga.*

Czyn ten szlachetny, prawdziwie chrześciański podajemy w piśmie naszem, aby zwrócić uwagę stanu rolniczo-włościańskiego na to, że na rolnika trzeba się uczyć, tak samo, jak księdza, doktora, urzędnika, stolarza, krawca i t. p.--i jak to sprawiedliwie Jan Maciąg wyrozumował, trzeba i przy pługu rozmyślać nad ulepszeniem i udoskonaleniem swéj pracy, bo na tem leży dobro naszego ziemiańskiego kraju.

Obyśmy na to pamiętni, pracowali około bogatéj i pięknéj ziemi naszéj tak, aby i nadal powiedzieli po nas to, co za ojców naszych mawiali:

„Gdy Sandomierz pszeniczka swym kłosem okryje,
Śmiało powiem, pół świata chlebem polskim żyje.“

Nowy sposób powlekania murów.

—

Trzy części suchej smoły z jedną częścią jakiéjkolwiek soli alkalicznéj, rozpuszczonéj w pięciu częściach wody, gotują się aż do zupełnego rozpłynięcia smoły. Massa tym sposobem otrzymana roztwarza się w gorącéj wodzie, aż do gęstości śmietany i nią powlekają się mury, powtarzając powleczenie za uschnięciem po parę razy—zanim jednak ostatnie powleczenie zaschnie, cała powierzchnia tak powleczona, posypuje się miałko utłuczoną smołą, żywicą lub t. p; poczem taż powierzchnia ogrzewa się płomieniem dopóty, dopóki nie okaże połysku pokostu. Powleczenie takie jest twarde jak kamień, i wytrwałe na zmiany powietrza i temperatury. Chcąc nadać powłoce barwę, żądany kolor dodany być może w proszku, czy to do początkowych, czy do następnych powlekań, lub wreszcie do tłuczonéj smoły, albo żywicy użytéj ostatecznie.

Przepis rafinowania, czyli oczyszczania łoju na świece.

—

Na 3,500 funtów łoju, bierze się $3\frac{1}{2}$ funta kwasu saletrzanego, rozpuszczonego w 22 funtach wody, którą się płucze, i potem razem z nią topi. W roztopiony łój wlewa się 5 funtów kwasu siarczanego, rozpuszczonego w 25 funtach wody. Gdy się łój doskonale roztopi, zcedza się go do świeżego naczynia, i dodaje się 5 funtów czystego alkoholu, 7 funtów kredy, 11 funtów gaszonego wapna, i $\frac{1}{2}$ funta kamfory, z któremi to ingredyencyami łój starannie wymieszać należy, iżby wszystkie jego cząstki niemi się nasyciły. Poczem znowu się łój topi i zcedza się do świeżego naczynia, w którem na nowo dodaje się doń 4 funty boraxu i 2 funty łupin z jaja miałko utłuczonych. Następnie gotuje się na parze, dodając podczas gotowania $1\frac{1}{2}$ funta czystego alkoholu, $\frac{1}{2}$ funta kamfory, i $\frac{1}{4}$ funta olejku cytrynowego. Tak przyrządzony łój nalewa się w formy.

Różności Tygodniowe

Jana Rychlaka.

Niedziela 6ta.

—

Bardzo dawno nic tu nie zapisałem, bo jakoś nic ciekawego mi się nie wydarzyło. Alеż dziś spot-

kała mię nielada przygoda, poszło mi po nosie jak to mówią, a zasłużyłem na to; więc dla spamiętania nauczki, jaką za moję głupotę odebrałem, muszę ją tu sobie zapisać.

Majster Sporny miał interes do entreprenera, to jest do przedsiębiercy, pod którego zarządem zaczęliśmy stawiać na Nowym-Świecie dom Staszyca.

Pan budowniczy odjechał na kilka tygodni z Warszawy, a w planie jego na ten dom takie są trudne i powikłane rozkłady, że nawet sam majster Sporny nie może dobrze ich zrozumieć. Więc zabrał papiery, wziął mnie z sobą i poszliśmy raniutko na Leszno, bo tam mieszka przedsiębiorca.

Pierwszy raz zobaczyłem jego mieszkanie; weszliśmy przez kuchnię. Patrzę, a tu kilka rądli miedzianych ślicznie wybielonych, pełno drewnianych statków, a wszystkie w mosiężne obręcze okute. Na stole stolnica, a na niej porozkładane jarzyny, mięso, cielęcina; a sama pani wszystko przegląda i rachuje się z kucharką—w każdym kącie czysto, że aż się świeci. Jakeśmy weszli, zaraz grzecznie poprosiła, żebyśmy poszli za służącą, która nas do pokoju, gdzie pracuje pan przedsiębiorca zaprowadzi. Idziemy tedy za tą sługą przez dość spory pokój zastawiony krzesełkami, okrągłym stołem na środku, a przy ścianie szafą za szkłem, a w niej kupa talerzy, półmisków, szklanek i innych porządków obiadowych.

Jak tu ładnie, pomyślałem sobie—aż tu nie na tem koniec. Przechodzimy przez drugi pokój, a tam łóżka jesionowe wysoko pościelą wysłane, pikowemi kołdrami przykryte, firanki z frędzlami w oknie; pod lustrem komoda, a na niej kwieciste filiżanki porcelanowe, takież imbryki, cukierniczka i inne porządki—przy stoliku kanapka i krzesełka czerwonym merynosem pokryte, a wszystko to jesionowe. To mi całą gębą pan, mówię sobie. Z tego pokoju, zaprowadziła nas sługa do wązkiego korytarzyka i powiedziała: proszę tu zaczekać, mój pan zaraz wyjdzie z swego pokoju.

Usiedliśmy sobie z majstrem na szlabanie, co stał naprost drzwi, któremi się weszło, a że zostały otwarte, widać było na ścianie wiszący obraz w pozłacanych ramach.

— Patrz, powiedział do mnie majster, to portret naszego przedsiębiorcy.

Spojrzę, a on wymalowany w kurteczce przy skórzanym fartuchu, z krótkim cybuszkiem w ustach, a z kompasem w ręku.

— Jakto? zapytam zdziwiony, czyż on był wyrobnikiem?

— Jak ty i ja, odpowie majster, a widzisz, iż się tego nie wstydzi.

Spoglądałem to na ten portret, to na dostatki tego mieszkania, jakbym oczom moim nie dowierzał.

— Oto mu los dopisał, zawołałem prawie z gniewem, czemu to jednemu się wiedzie, a drugiemu nie? Czemuto pan majster niema tego wszystkiego, co ja tu widzę?

Majster spojrzał na mnie figlarnie, a pokiwawszy palcem po nosie, rzekł:

— Ej chłopcze! mówisz o mnie, a myślisz o sobie, i to się ma znaczyć: czemu to ty niemasz tego wszystkiego—a co nieprawdaż?

— A choćbym i tak myślał, odrzekłem trochę zawstydzony, że mię tak majster przeniknął, tobym nie zgrzeszył; przecież do pracy się nie lenię, czasu i zarobku nie zmarnuję, a pan majster jeszcze dawniéj niżeli ja pracuje, jednakże daleko mu do tego dostatku, co tu widzimy.

— I nie zazdroszczę tego, bo mi także daleko do tego, abym był takim jak nasz przedsiębiorca—umiem ja sam siebie uczcić; co on, to nie ja, sam zobaczysz.

— Co zobaczę? zawołałem z zapałem, to mi się aż krew gotuje, gdy patrzę na nierówność losów naszych; dlaczego on tak porządnie mieszka, kiedy inni z nas pod strychem, albo w suterenach się mieszczą? dlaczego my nie mamy, jak on tyle sprzętów, naczyń, statków, pościeli, luster, firanek?

— Bom na to wszystko zapracował, przerwał mi grzmiący głos wychodzący z bocznego pokoju, i stanął przedemną małego wzrostu, ale z tęgą miną osiwiały mężczyzna, w dymkowym szlafroku i w pantoflach.

Zerwałem się z miejsca.

— Aha! rzekł do mnie przedsiębiorca, patrząc mi bystro w oczy, słyszałem twoje gadanie—widzę, że lubisz rozprawiać, i że mi zazdrościsz; pytasz, dlaczego, co tu widzisz, należy do mnie, a nie do ciebie? Dowiesz się zaraz o tem, chodź z panem majstrem do mego pokoju.

Weszliśmy tam, i ujrzałem na środku du-

ży stół zastawiony wzorami drewnianemi różnéj wielkości i kształtów budynków; przy nich linie, cyrkle, pędzle, kompasy. Na ścianach porozwieszane plany, przedstawiające rozmaite przecięcia kilkopiętrowe, na pułkach poustawiane modele schodów, dachów i innych robót ciesielskich, bussole, grafometry i mnóstwo narzędzi zupełnie mi nawet nieznanych. W tekach ponumerowanych rachunki grabarskie, mularskie, ślusarskie, kowalskie, szklarskie, i t. p. Przedsiębiorca zostawił mi chwilę czasu do przypatrzenia się temu wszystkiemu, a potem dostał z teki ogromny arkusz papieru i podając mi go, powiedział:

— Oto jest plan, który trzeba zmniejszyć o jednę trzecią część, ale nie naruszać ani porządku, ani liczby pokoi; schody wypada o ćwierć łokcia rozszerzyć— usiądźno i naprędce narysuj, jak myślisz, że się to da przerobić.

Spojrzałem na niego zdziwiony, i wyznałem, że rysować nie umiem.

—Ha! nie umiesz, to może zachcesz sprawdzić te oto rachunki ciesielskie i uprościć zanadto zawiłe wiązanie dachu? jest tam 312 artykułów do przejrzenia, trzeba porównać podane ceny z wyznaczonemi miarami.

Musiałem się przyznać, spuszczając oczy, że to nie na mój rozum takie rachunki.

— To przynajmniej będziesz mógł mi powiedzieć, jakie są formalności do zachowania względem téj oto kamienicy, którą masz stawiać. Oto jest jej plan, oznaczono dokładnie jej gruntowe położenie, więc wykaż mi obowiązki względem sąsiednich gruntów i domów, przepisy prawne do zachowania.

Przerwałem mu, z niechęcią mówiąc, że nie jestem adwokatem.

— A że zapewne, mówił coraz żywiej przedsiębiorca, nie jesteś także bankierem, więc nie będziesz mógł mi obrachować, na jakie termina trzeba rozłożyć wypłaty moje rozmaite, jakiego procentu powinienem szukać od wyłożonego kapitału, aby się nie narazić na stratę?—a że nie jesteś mechanikiem, więc nie mam potrzeby pytać się, ile siły oszczędzi ta machina, którą nowo sprowadziłem, i masz ją tu w małym modelu przed sobą—a że nie umiesz matematyki, więc naprózno próbowałbyś wyrachować, jakiej objętości powinny być arkady, między któremi mają być sklepy, a nad niemi dwupiętrowe mieszkanie? Więc kiedy nie umiesz nic więcéj nad to, co tysiące twoich kolegów umieją, pracujże jak oni tylko kielnią i młotem.

Zdudziałem zupełnie, miętosiłem czapkę moję, i zapomniałem, jak to mówią, języka w gębie.

—A widzisz, rzekł majster Sporny, czy ci nie mówiłem, że się sam przekonasz, dlaczego jest różnica między takimi jak my robotnikami, a takim, co się wszystkiego uczył i dobrze wyuczył. On na to wiele czasu i kosztu poświęcił, nie mało się mozolił, wiele nocy nie dospał, chleba sobie odmawiał, a książki kupował, ślęczył nad niemi. Nie każdy z nas ma do tego ochotę, zdolność i możność, więc każdemu na tym świecie wedle jego zasługi i usilności. Jakiémże prawem mamy wymagać, abyśmy mieli te same korzyści, kiedyśmy się do nich nie sposobili? A w cechu, to jak w wojsku, jednego generała potrzeba na tysiące żołnierzy; inaczéj być nie może, Bóg już taki porządek postanowił, bo bez tego nicby nie szło do ładu. Ha, cóż na to powiesz?

— Co stary rozum, to nie młody, odpowiedziałem nieśmiało; pan majster zaraz wziął sobie wszystko na uwagę, o czem mnie niedoświadczonego trzeba było przekonywać, tak jasno, jak że dwa a dwa, to cztery. Ale już teraz nie zapomnę, com się dowiedział, i powtórzę to niejednemu świszczypałce, co tak jak ja mędrkuje.

—Dobrze zrobisz, odpowiedział przedsiębiorca—młodzi co mają jeszcze czas na to, zamiast psuć sobie serce zawiścią ku tym, którzy są wyżéj od nich, niech nauką a pracą, poczciwością a trzeźwością starają się wyrównać tym, którzy się nad nich wznieśli.

Przystąpiliśmy potem do interesu, z którym przybyliśmy. Przedsiębiorca wszystko nam dokładnie wytłumaczył, a przy pożegnaniu majstra Spornego uściskał, do mnie zaś rzekł poufale:

—Bywaj zdrów kolego, pracuj i ucz się; lepiéj, żeby się w twojem sercu obudziła poczciwa ambicya, niżeli brzydka a szkodliwa zazdrość—jak będziesz w czem potrzebował pomocy, pamiętaj o mnie.

W drukarni J. Unger.— Wolno drukować. Warszawa d. 4 (16) czerwca 1857 r.—Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*